

Warszawa, dnia 4 (16) Kwietnia 1870 r.

№ 15. | Rok VI.

Cena w Warszawie 25 kop. miesięcznie — na Prowincji: rs. 1 kop. 20 kwartalnie (w tém mieści się już opłata pocztowa za przesyłkę kop. 11¼, oraz za opakowanie i ekspedycję kop. 33¾). **Redakcja** w Warszawie przy ulicy Solnéj pod Nr. 715.—**Skład główny** dla pp. Księgarzy *w Warszawie* w księgarni Ferdynanda Hösicka, ulica Senatorska Nr. 496, i tamże urządzona jest skrzynka na listy adresowane do Redakcji. *W Poznaniu* u **Leitgebera**, we *Lwowie* u **Wilda Karola**, w *Żytomierzu* u **Budkiewicza** księgarza.

ALLELUJA!

Tem starodawnem Hebrajskiem wyrażeniem: *Chwalmy Pana*, pozdrawiamy dziś naszych czytelników.

W życiu człowieka są niekiedy chwile tak błogie, wesołe i rozkoszne, że przyrównać je chyba tylko można do czarownego wschodu słońca, grającego swymi promieniami, w wiosennym poranku, po zielonolistnych strunach brzóz, akacji i powojów. Wtedy, czyś młody czyś stary, czyś szczęśliwy czy nieszczęśliwy, pierś ci się wzdyma, twarz się rumieni jak po pocałunku dziewicy, okoogniem płonie, ręce wyciągasz gdzieś, gdzieś w niezmierzoną przestrzeń, zdaje ci się że chciałbyś uściskać wszystko i wszystkich a nie masz siły potemu, a nie masz wyrazu na wypowiedzenie twych uczuć, kwitnących ci na dnie serca, niby w powróconym rajskim ogrodzie. Hebrajczycy wołali wtenczas: *Allelujah! Chwalmy Pana!*



Ubior Słowaków (Strona 170).

Chrześcijańscy i głęboko religijni poprzednicy nasi przyswoili sobie ten poważny wyraz, zapewne jeszcze w X-m wieku po nawróceniu się Mieczysława I-go, i pozdrawiali się nim, z dołączeniem szczerych przyjacielskich życzeń, w radośne święta Wielkanocne, czyli Zmartwychwstania Pańskiego.

Czas, ten najstraszniejszy oręż zniszczenia, przy pomocy naszéj obojętności, zatracił nam już niejedną piękną pamiątkę przeszłości, usunął z przed oczu niejeden chwalebny zwyczaj i oby-

czaj, który przecież jak klejnot w spuściznie lśnić powinien na życiu ukochanych i kochających wnuków. Dzięki Bogu, zostały nam się jeszcze okruchy tych skarbów, a zostały właśnie wrażliwsze, jaskrawsze, niemożebne prawie do zapomnienia i zagłady, bo tkwią nam w duszy i krwi, błyszczą złotymi promieniami, niby ów czarodziejski hymn poranny, na którego wspomnienie i pierś faluje i lica kwitną różami i wzrok wytryska łzą rozrzewnienia, przed któremi nawet groźna dłoń czasu ugiąć się musi. Do takich skarbów po przeszłości, słusznie zaliczamy wesołe i uratowane *Alleluja*.

Dzień Zmartwychwstania Pańskiego jest w Chrześcijaństwie tak ważnym i radosnym, że w pierwszych wiekach wierni w uniesieniu całowali się, bez względu na płeć, stan i wiek. Zwyczaj ten przechował się aż dotąd w Kościele Wschodnim.

U nas ileż to najrozmaitszych uczuć i wspomnień uroczystość ta wydobywa zagrzebanych na dnie serca i myśli. Toż każdemu staną zaraz przed oczyma jego dziecięce lata, szkoły, pensje, cenzury, odwiedziny domu rodzicielskiego, krewnych, przyjaciół i znajomych. Przypominasz sobie jak niecierpliwie kazałeś zacinać konie, by czemprędzéj zobaczyć ukochaną matkę i ojca, by uścisnąć brata i siostrę, i pochwalić się przed niemi postępami w naukach, nabytemi wiadomościami. Przypominasz sobie jak serce ci zadrżało gdyś ujrzał zdala krzyż na wieżyczce znanego ci kościołka; jak najpierwszy zwietrzył cię i przywitał poczciwy brysio, pies domowy, rzucając się bez ceremonji w twoje objęcia i liżąc cię po twarzy i rękach. Przypominasz sobie pachnące babki, ciasta najrozmaitszéj formy, jajka i mięsiwa ubrane borówkami a poświęcone przez kapłana w Wielką Sobotę. Nareszcie po kilkodniowym w domu nieładzie nadeszła Wielka Niedziela czyli sam dzień Wielkiéj Nocy. Pamiętasz, słońce błyszczało jakby umyślnie dla ciebie, pogoda prześliczna, dzwony brzmią i huczą, moździerze biją na wiwat, lud się w kościele nie może zmieścić, dokoła gwarno, strojno i świątecznie, świéce na ołtarzach się palą, a nad tem wszystkiem unosi się echo pieśni: *Wesoły nam dzień dziś nastał!* To *Rezurekcja*. Potem każdy wraca w swe progi. Ci pieszo, ci konno, jedni na wozach, drudzy na bryczkach, inni w karocach. Więc znów przypominasz sobie jakeś to spieszył z rodziną do zastawionego stołu, jak ojciec zwoławszy służbę i domowników, dzielił się ze wszystkiemi jajkiem, chlebem, solą i napitkiem, życząc każdemu doczekania przyszłego radosnego *Alleluja*. Wtém zachodzi sąsiad, proboszcz, znajomi i przyjaciele. Matka się krząta, ojciec częstuje i bawi, siostrzyczki biegają, a ty — pamiętasz, kręcisz się z kąta w kąt, skubiesz cukrowego baranka, ściągasz ukradkiem rodzynki i migdały. W chacie i komnacie gwarzą raźnie i ochoczo. Słońce coraz przyświeca jaśniéj na lazurowém niebie, gołębie klaszczą skrzydłami, ptastwo świergoli sobie i śpiewa nadobre, bydełko ryczy, konie rżą i pochrupują obrok, pies nasycony i zadowolony wyciągnął się na dwóch łapach, patrzy, oblizuje się i bije o ziemię ogonem. Goście się bawią, śmieją, opowiadają różne dzieje, potem milczą, kiwają głowami, nareszcie ojciec wniósł toast. Jeden po drugim spogląda miłośnie, czule, oczy się iskrzą aż łzy z nich tryskają, patrzysz, a tu każdy się ściska, coś szepce do ucha wpół z płaczem; całusy, życzenia rozlegają się od ściany do ściany, a pomiędzy tą falą słów, zdań i przyjacielskich objawów, słyszysz bez końca powtarzane: *Do przyszłego Alleluja! Wesołego Alleluja!*

O i ty, choć byłeś dopiero chłopięciem, choć w głowie miałeś więcéj wróbli niż mózgu, czułeś przecie sercem tę radosną chwilę, rozrzewniała cię ta przyjaźń starszych, byłbyś im się rzucił na piersi, byłbyś im ściskał ręce i nogi, gdyby ci na to pozwolili. *Alleluja* zostało ci w łonie na wieki.

Skończyły się święta i powróciłeś na szkolne ławy. Skończyły się szkoły i wyszedłeś w świat borykać się z życiem i ze stanowiskiem. W téj walce, w tym chaosie obowiązków z uprzedzeniami i zawodami, nie jeden może z nas stracił ojca i matkę i nie ma już gdzie pędzić radosny na wielką uroczystość domową, nie ma z kim podzielić się chlebem, solą, uczuciem i łzami, bo smutek nie wszędzie popłaca, bo sierotę rzadko kto pojmie i zrozumie. Więc radzisz sobie jak możesz. Z początku przypominasz sam przed sobą ubiegłe lata, przypominasz wszystko jak było, co było: lecz gdy się obejrzysz że około ciebie nic się nie pozostało, że nic już nie widzisz, bo nie ma i na co patrzéć, żal cię niezmierny ogarnie i zwolna, pomału przyzwyczajasz się do nowego życia, do nowych wymagań, stajesz się dziwnie nieczułym, zimnym, obojętnym na to, co kiedyś cię tak zachwycało i podnosiło.

Takiego stanu lękajmy się. Żadne przeciwności nie powinny nam wydrzéć z serca tych odwiecznych życzeń i gościnności zwyczajów. Pamiętajmy, że zwyczaje i obyczaje domowe stanowią charakter narodów. Pozbyć ich się, zapomnieć o nich, jest to pozbyć się najpiękniejszych strun duszy, jest to uronić przekazany nam w spuściznie klejnot, skarb, jest to wyprzeć się niewdzięcznie świętych wspomnień, najrozkoszniejszych dni życia. Złym i nikczemnym musi być ten kto nimi pogardza. Jest to ptak kalający własne swoje gniazdo. Otrząśnijmy się z tych obcych, modnych naleciałości, a z bliżającą się i świtającą już prawie wielką uroczystością *Zmartwychwstania*, przypomnijmy sobie młodzieńcze nasze lata, rozpogodźmy czoło i lice, odetchnijmy piersią miłości i przyjaźni, a dzieląc się z każdym, nawet z najuboższym biedakiem, święconem jajkiem, chlebem, solą i pożywną strawą, śpiewajmy ochoczo: *Wesoły nam dzień dziś nastał*, i życzmy sobie wzajemnie, szczerze, po bratersku, wszystkiego dobrego, przy odgłosie zawsze wesołego *Alleluja*.

Ksawery Drużba.

Kassa Przemysłowców Warszawskich.

Opiekun Domowy wspominał już kilkakrotnie o kassach zaliczkowych dla rzemieślników, wówczas jeszcze, kiedy te kassy nie były zatwierdzone dla Warszawy. Dzisiaj kassa taka w Warszawie istnieje już od kilku miesięcy i co może to robi dla rzemieślników. Wielu jednak nie zna jeszcze téj kassy, lub zupełnie mylne ma o niéj wyobrażenie. Dla tych to zatem powtarzamy tutaj artykuł zamieszczony w *Gazecie Polskiéj*, napisany przez pana *Józefa Juszczyka* majstra krawieckiego, a jednocześnie należącego do Zarządu ową kassą. Otóż ten artykuł:

Kto chce być uczestnikiem kassy, powinien zrobić podanie na prostym papierze do komitetu, o przyjęcie go do stowarzyszenia.

Następnie składa się rsr. 1 wpisowego, przyczem jednocześnie otrzymuje książeczkę udziałową. Z tą książeczką co tydzień, a jak czas nie dozwala, najpóźniéj co miesiąc, przychodzi się do kassy, i wnosi się najmniéj tygodniowo po 25 kop., a miesięcznie po rsr. 1, a to tytułem raty na udział summy rsr. 50.

Kto jest w możności, może wnosić większe raty, lub też dać całkowity wkład rsr. 50.

Jeżeli ktoś np. złożył rsr. 10, 15, 30, i t. d., (można także składać więcéj po 50 rsr., ale na kapitał, który się procentuje), a w trakcie tym gwałtownie zapotrzebuje tych samych pieniędzy przez siebie złożonych, to udaje się z książeczką udziałową do kassjera, i ten mu żądaną summę pieniędzy bezzwłocznie wydaje.

Pieniądze wzięte przez stowarzyszonego, chociaż jego własne, zapisują się do książeczki jako dług zaciągnięty, a to dla tego, aby biorący nie utracił prawa do stowarzyszenia, i do dywidendy czyli zarobku, jaki przypaść może na jego udział.

A więc płaci się procent od swoich własnych złożonych pieniędzy wtenczas kiedy się ich potrzebuje. W tem miejscu należy objaśnić tych, którzy nie mogąc pojąć téj operacji, twierdzą, że ona żadnéj korzyści nie nastręcza.

Przypuśćmy więc, że w pewnym miejscu zbiera się 10 majstrów lub czeladników i ci pomiędzy sobą zawiązują współkę. Każdy z nich ma całego funduszu w gotówce rsr. 10. Składają to wszystko u jednego, i ztąd tworzy się kapitał rsr. 100. Jeden z nich potrzebuje na narzędzia warsztatowe rsr. 25, które pożyczają mu za wspólnem porozumieniem się, na czas przez niego oznaczony, za opłaceniem procentu z góry po 12 od sta na rok. Drugi pożycza tylko rsr. 10, więc od tego co włożył, płaci także procent. Trzeci żąda tylko rsr. 5, jeszcze mniéj jak poprzednik, również na procent, i t. d.

Całą tak summę złożoną przez siebie w różnych czasach i ilościach, przez rok czasu wspólnicy rozpożyczają pomiędzy sobą, z czego wypada że przez rok jeden robiąc dogodności jeden drugiemu, i pobierając od siebie procenty godziwe, zarobili rsr. 12, którą to kwotę na równe części pomiędzy sobą rozdzielają. I albo biorą ten zysk do ręki, albo go wcielają (co tem lepiéj) do tych 100 rsr.

Gdyby więc jeden z nich, co pożyczył tylko swój wkład, nie chciał od takowego, jako od swoich własnych pieniędzy opłacić procentu, to w takim razie niby mu się z zarobku téj spółki nie dostało, a co gorzéj, nie otrzymałby na przyszłość większéj pożyczki w razie gdyby jéj zapotrzebował, a więc przestałby być i wspólnikiem. Kto chce pobierać zyski, ten udzielać je musi drugim, bo zkądżeby się tworzył zarobek?

Widzimy z tego jasno, że tym sposobem 10 stowarzyszonych robotników, posiada kapitalik swój własny zaoszczędzony jakby w *kassie oszczędności*, a przytem znajduje na każde zażądanie pomoc w pożyczce, oraz zarobek większy niż się spodziewał. A co najważniejsze, zyskuje to moralne przekonanie, które każdy zdrowy na ciele i umyśle rzemieślnik mieć powinien, iż w utrzymaniu swojego honoru i niezależności, do żadnéj instytucji dobroczynnéj uciekać się nie należy, ani wyciągać ręki o wsparcie, które to czyny, tylko prawdziwemu kalece przystoją. Owszem, powinien sam starać się stanąć o własnych siłach, a czasu tak drogiego do roboty na wyczekiwaniu po sieniach na dobrodziejów nie marnować; całowaniem rąk i szlochaniem na niedostatek przed temiż, nie poniżać się, i nikogo swoim losem nie trudzić.

Kassa zaliczkowa jest taką samą współką, jak ta, o któréj wyżéj w przykładzie na 10-u robotnikach wskazaliśmy, a że jest instytucją obszerniejszych rozmiarów, więc żąda na większe summy jak np. na rsr. 100, 200, 500, i t. d., poręczenia dwóch uczestników kassy. Jeśliby zaś ci poręczający nie znaleźli się pomiędzy uczestnikami, to kassa przyjmie zaręczenia osób innych, byle znanych z uczciwości.

Większych pożyczek kassa bez poręczenia udzielać nie może, a to dla bezpieczeństwa summ uczestników, którzy sami tego porządku i gwarancji wymagają.

Każdy, kto się wpisuje i złoży wkład rsr. 1, już ma prawo żądać pożyczki z poręczeniem, jednakże musi regularnie tygodniowo, lub najmniéj miesięcznie wnosić udział, aż do 50 rsr., bo z tego tworzą się fundusze pożyczkowe.

Kassa pożyczkowa od czasu swojego otwarcia, to jest od dnia 1 Lutego tegoż roku, udzieliła już pożyczek niemało; pomiędzy większemi wyassygnowała jednemu majstrowi na założenie warsztatu rsr. 300, zaś innemu na powiększenie interesu rsr. 1,200, innym po 150 — 200 rsr. na narzędzia i t. p. wydatki warsztatowe.

WIOSNA.

Matuleńko, matuleńko,
Jak to pięknie dziś na dworze,
Aż z radości drży serdeńko,
Jak to pięknie... o mój Boże!
Na niebiosach słońce świeci,
Wołki pasą się na trawie,
Uśmiechnięte małe dzieci
Chodzą sobie po murawie,
Jak motylki, jak aniołki.
A ten zapach brzóz, topoli,
A te ptaszki, te fijołki,
A ta zieleń tam na roli—
Matuleńko, powiedz szczerze,
Bo aż mąci mi się w głowie,
Zkąd się też to wszystko bierze,
Zkąd się bierze, jak się zowie?
— Zkąd się bierze? A od Boga,
Szczebioteczko moja droga.
A że pierś ci drży radosna,
Toć to wiosna, toć to wiosna!

O, mnie nieraz pierś zabije,
Ot naprzykład, gdy coś robię,
Gdy się rzucę ci na szyję,
Gdy ołtarzyk w kwiatki zdobię,
Kiedy w lesie szumią drzewa,
Gdy mi słowik w gaju śpiewa,
Gdy się modlę w wieczór, z rana,
Lub ubogim daję grosze;
Matuleńko ukochana,
Powiedz ty mi, powiedz proszę,
Czy to co ja wtedy czuję,
Czem się pieszczę i lubuję,

Czy to także zwie się wiosną?
— Także, także, moje dziecię.
Kwiatki różnie wschodzą w świecie,
Lecz najpiękniej w sercu rosną.

Lube, słodkie, niby miody,
Aż się serce do nich śmieje,
A twarzyczka aż w jagody
Zarumieni się po uszy,



Typy Słowaków (Strona 170).

Matuleńko, a jeżeli
Ktoś—ktoś—młody... mnie przywita,
I o zdrowie twoje spyta,
Tak miłośnie jak anieli;
Gdy mi mówi różne dzieje,

I gdy wtenczas czuję w duszy
Jasne słonko, rój aniołków,
Zapach brzozy, róż, topoli,
Śpiew słowiczy, kwiat fijołków,
Świeżą zieleń z naszéj roli,

A pierś tak mi mocno bije,
Jako wtedy gdy na szyję

I ramiona ci się rzucę,
Lub piosenkę swą zanucę,



IWONICZ (Strona 170).

Lub gdy modlę się od rana,
Albo biednym daję grosze,
Matuleńko ukochana,
Powiedz ty mi, powiedz proszę,
Jeśli do mnie tak zagada—
On—on piękny, jasnowłosy,
Czy ta jego słów kaskada,
Te urocze w sercu głosy,
Co tak ślicznie, miło rosną,
Czy to także zwie się wiosną?
— Ach ty sroczko, co ci w głowie...
Usiądź lepiéj do roboty,
Praca wyjdzie ci na zdrowie.
To co mówisz, to sen złoty...
Sny tłumaczyć—grzech—nie można,
. . . .
A z chłopcami bądź ostrożna!..

Franciszek Gumowski.

SŁOWACY.

Na północ i zachód Węgier, rozsiadł się u stóp gór Karpackich lud Słowacki, mową swoją więcéj do Morawianów, aniżeli do nas zbliżony. Przed tysiącem lat Morawa była potężnem państwem, obejmującem także całe zachodnie i północne Węgry. Stolica wielkiéj Morawji była w Nitrze, dziś niewielkiéj mieścinie, leżącéj w królestwie Węgierskiem, ale w słowackiéj ziemi.

Słowaków w Węgrzech jest przeszło dwa miljony. Jak tylko przebędziesz góry karpackie, zaraz się z nimi spotkasz. Lud to bardzo dobry i potulny, lecz niezaradny, a nawet nieco leniwy; z tąd też żywy i ognisty Madziar ma nad nim górę. Szlachta i mieszczanie bogatsi, poprzerabiali się na Węgrów, lud tylko wiejski strzeże dawnych obyczajów i mowy ojców.

Wioski słowackie są ubogie, a ludność, osobliwie też pod samemi Karpatami zamieszkała, nie może się wyżywić ze swoich gruntów i wychodzi na zarobek, do krain sąsiednich. Jedni są druciarzami, mianowicie też z okolic Trenczyna, inni misiarzami, trzebiącymi zwierzęta domowe, inni wreszcie kramarzami, roznoszącymi na plecach rozmaite towary i drobnostki. Chaty podobne domostwom naszym wiejskim, drewniane, z okrąglaków stawiane, kryją słomianą strzechą. Miasteczka stawiane obyczajem węgierskim w długą a szeroką ulicę, w środku któréj stoi kościół, a często i ratusz. Tam gdzie się znajdują kopalnie żelaza, miedzi, czasami srebra, a nawet i złota, jak w Kremnicy i Szemnicy, lud miewa się lepiéj, bo ma robotę i zarobek stały.

Lud słowacki nosi się odmiennie od Węgrów, zachowując tylko ich spodnie obcisłe, wyszywane kolorowemi sznurkami, w zimie kaftany z grubego białego sukna. Płaszcze ich są białe, długie, z obszernym kołnierzem, nakształt sukni u kerezyi szkalbmierskiéj, tylko krótkiéj, wyszywanéj taśmami. Kobiety noszą gorseciki spinane na guziki świecące; spódniczki kolorowe, zielone lub niebieskie; fartuszki jasne; pasy wełniane, z końcami spadającymi na bok; trzewiki mają na korkach. Dziewczęta mają długie warkocze, niewiasty zaś rańtuchy na głowach. Mężczyzni za obuwie używają kierpców, a zamożniejsi w święta wdziewają buty. Głowy okrywają kapeluszami z bardzo szerokiemi, do góry wyniniętemi skrzydłami i okrągłą główką.

Zwykle, mianowicie też w Królestwie Polskiem, uważają Słowaków za górali tatrzańskich z Galicji, od których przecież różnią się nietylko ubiorem całkiem odmiennym, ale i mową. Górale nasi mówią językiem polskim, wymawiają prędko i ciągną ostatnią zgłoskę; Słowacy zaś używają mowy zupełnie do morawskiéj podobnéj, a kto chce ją poznać, niechaj pomówi z druciarzem.

W dawnych czasach, lud wiejski słowacki ciężką odrabiał pańszczyznę, pomimo to jednak nie miał wielkiéj zawziętości do Madziarów; raz tylko wybuchnęło na Węgrach zaburzenie, wnet przez wojsko poskromione, lecz od rewolucji węgierskiéj w r. 1848, wysłańcy czescy rozbudzali nienawiść między Słowakami przeciwko Madziarom i przyszło nawet do powstania, pod dowództwem księdza Hurbana. I tym razem jednak nie powiodło się, bo zostali od Węgrów zwyciężeni. Dzisiaj pańszczyzna na Węgrzech podobnie jak i w całéj monarchi austryjackiéj zniesiona i już nigdy nie wróci. Zawsze przecież Słowacy mają słuszną urazę do Węgrów, bo ich chcą zmusić do używania madziarskiego języka, podobnie, jak nas Niemcy do swéj mowy zmuszali.

Lud słowacki dorodny, ma po większéj części włos jasny i oczy siwe, czem się różni od Madziarów; lubi bardzo muzykę i ma mnóstwo pieśni, po większéj części smutnych, bo pomyślanych w czasach niewoli i ucisku; niektóre jeszcze powstały za bardzo dawnych czasów, kiedy to Turek broił w Węgrzech i narodowi srodze dokuczał. Palą tu ognie czyli sobótki, podobnie, jak lud polski w Galicji i Królestwie Polskiem i mają do tego stosowne pieśni. Część Słowaków wyznaje religję katolicką, część znowu luterską; śpiewają też przy chrzcinach, weselach, a nawet pogrzebach, jako i inne ludy słowiańskie.

Wł. L. Anczyc.

IWONICZ.

Okazała wieś *Iwonicz*, ze swym zakładem zdrojowym kąpielnym, leży w ziemi Sanockiéj pod 39°28' długości, a pod 48°36' szerokości jeograficznéj, na 405 metrów pod poziomem morza, na południowym stoku Karpat, spuszczających się w dolinę rzeki Wisłoki.

Na zachód od wsi, w odległości prawie mili, wyborną drogą wjeżdża się w romantyczną dolinę, otoczoną gęstym lasem jodłowym, w któréj wytryskują zbawienne zdroje Iwonickie.

Dolina ta 400 sążni długa, a 100 sążni szeroka, przerznięta dwoma górskiemi potokami, otwiera się w postaci amfiteatru z południa ku północy. Grunt tego wzgórza skalisty i rozpadlinami poorany, zaledwo z pomocą ogromnych nakładów i największych starań, z nieprzystępnéj prawie pustyni, zamieniony został w miejsce mieszkalne.

Zakład sam, położony na romantycznem leśnem urwisku, jakby ręką czarodzieja z łona ziemi wyprowadzony, sprawia tak piękny i zachwycający widok, iż śmiało iść może w porównanie z najpiękniejszemi jakie w Europie znachodzimy.

Bite gościńce, przerzynające czarowną dolinę, różnobarwność kwiecistych klombów, rozrzuconych

wśród szmaragdowéj murawy, szum górskich potoków, wdzięk domków i budowli kąpielnych, wzniesionych w ozdobnym stylu, wzorowy porządek i czystość, którą tu wszystko oddycha, olbrzymi bór jodłowy, majestatycznym wieńcem obejmujący dolinę, malownicze grupy drzew i krzewów, wszystko to razem nietylko wskazuje rozległość pomysłu i wykwintny smak, lecz stawia zarazem Iwonicz między kąpielami najpowabniejszemi i najlepiéj urządzonemi w naszym kraju.

Z najpewniejszych dat historycznych wiadomo, iż zdroje naszego Iwonicza już w wieku XV znane były jako ciekawe zjawisko przyrody, albowiem obok źródeł mineralnych znajduje się tutaj zdrój naftowy „*Bełkotką*“ zwany, z którego to źródła wydobywający się gaz bagienny, za zbliżeniem płomienia zapala się, wprawiając widzów z naukami przyrodniczemi mniéj obeznanych w wielkie podziwienie. Wydobywanie się wspomnionego gazu jest tak silne i obfite, iż raz zapalony z trudnością ugasić się daje, a nawet niejednokrotnie bywał przyczyną pożaru sąsiednich budowli. Dla ugaszenia płomienia palącego się gazu po nad wodą, używają tutaj zazwyczaj świeżych oliścionych gałęzi, któremi uderzają bezustannie w powierzchnią wody, w miejscach gdzie się płomień pojawia, i zaledwo z mozołem takowy ugasić można.

Jakkolwiek z wierzytelnych aktów przekonać się można, że wody Iwonickie już przeszło od 200 lat są znane, wszakże dopiero rok 1837 jest rzetelnym początkiem tutejszego zdrojowiska; albowiem w tym-to czasie ś. p. *Karol* hr. *Załuski*, wierny wielkim wzorom, jakich mu własna rodzina Załuskich, niedorównana w bezprzykładnem poświęceniu się ziomkom i ludzkości dostarczyła, założył tutaj zakład zdrojowo-kąpielny, a zgasły zawcześnie przekazał tradycyę uczuć swemu synowi *Michałowi* hr. *Załuskiemu*, dzisiejszemu dziedzicowi Iwonicza, którego gotowość do wszelkich ulepszeń zakładu powszechnie jest znaną i ocenianą.

Iwonicz posiada obecnie 5 zdrojów mineralnych, t. j.
Zdrój Karola, szczawa słona, czysto-jodowa,
Zdrój Amalji, szczawa jodowo-żelazista,
Zdrój Józefa, woda żelazista,
Zdrój Adolfa, zdrój siarczany, i
Bełkotka, czyli zdrój naftowy.

Tutejszy zakład zdrojowo-kąpielny ma 250 pokojów do wynajęcia, nie licząc w to 20 domów tutejszych włościan, u których odpowiednie stancje do pomieszczenia się znajdujemy, dobrze urządzone łazienki z kąpielami mineralnemi, a mianowicie: jodowo-słonemi, żelazistemi, siarczanemi, i to w różnéj postaci jako: kąpiele wanienne, nasiadowe, natryskowe, nadto są tu także kąpiele parowe balsamiczne, ze świeżego igliwia przyrządzane.

Oprócz tego Iwonicz posiada wspaniały dom dla gości „Hotelem“ zwany, gmach mieszczący restauracyę, cukiernię, przepyszną salę balową, czytelnię czasopism i książek; zgoła na środkach leczniczo-zdrojowych, na przyjemnościach i rozrywkach miejscowych, na arcypożądanych wycieczkach w sąsiednie okolice, wcale Iwoniczowi nie zbywa.

Do ulubionych wycieczek policzyć tu należy zwiedzanie:

1. Krosna, bystrą Wisłoką oblanego, w nim piękny starożytny kościół farny, słynny dzwonami, i również starożytny kościół OO. Franciszkanów, z familijnym grobowcem nieszczęsnéj rodziny Oświęcimów.

2. O dwie mile od Iwonicza wśród lasu sterczą na skalistem wzgórzu romantyczne zwaliska zamku Odrzykońskiego.

3. W równéj odległości zasiada Dukla, miejsce rodzinne św. Jana, z godnym widzenia kościołem OO. Bernardynów i pustelnią św. Jana.

4. Sanok, jedno z najdawniejszych miast na Rusi, w zachwycającem położeniu wśród gór nad Sanem. Na skalistym brzegu Sanu wznosi się zamek, w którym Władysław Jagiełło wziął ślub z Granowską.

Zdroje Iwonickie tak pod względem chemicznym, jak i lekarskim były wielokrotnie badane, a mianowicie co do ich chemizmu, naprzód przez wielce na polu hydrochemji krajowéj zasłużonego Teodora Torosiewicza, a następnie przez A. Aleksandrowicza. Pod względem zaś lekarskim opisywali je dr. Barach, dr. Czelakowski, dr. Warschauer, niezmordowany ich opiekun dr. Moszczański, w końcu zaś doczekały się opisu na polu balneologji krajowéj najzasłużeńszego prof. dr. Dietla.

Najnowszy rozbiór chemiczny wód Iwonickich, przez Aleksandrowicza w roku 1866 uskuteczniony, pouczył nas, iż tutejsze wody, a mianowicie zdroje Karola i Amalji, są szczawami słono-bromo-jodowo-barytowemi, w kwas węglowy zamożnemi, z których drugi t. j. Amalji, zawiera nadto węglan żelazawy; a więc wody tutejsze, dawniéj zaliczane do wód słono-jodowych, nie są prostemi solankami, jod i brom zawierającemi, ale szczawami, bo obfitują w kwas węglowy wolny.

Najważniejszemi częściami składowemi wód Iwonickich jest sól kuchenna i inne sole chlorowe — nadto
Sole jodowe,
Sole bromowe,
Węglan sodowy żelazawy i barowy, tudzież
Kwas węglowy wolny.

Każdemu wiadomo, jak wielce w skutkach lekarskich ważne są powyższe pierwiastki, czyli to w zołzach (skrofułach), czyli w rozlicznych chorobach odznaczających się utworami zbitemi i uorganizowanemi, jakie bardzo często następują po rozmaitych zapaleniach, czyli w chronicznych osutkach i złośliwych wrzodach, czyli w rozmaitych chorobach nerwowych i t. d.

Porównywając wody Iwonickie, mówi dr. Dietl, z wysławianemi zdrojami kreuznachskiemi, do których corocznie tylu ziomków naszych uczęszcza, łatwo się przekonamy, iż one bynajmniéj na pierwszeństwo nie zasługują; bo chociaż źródło Elżbiety w jednym funcie zawiera więcéj soli chlorowych o 25 granów, to przecież chory pijący wodę Iwonicką nierównie więcéj téj soli przyjąć i przetrawić może, aniżeli pijąc wodę kreuznachską, gdyż woda tego źródła pozbawiona wszelkiego kwasu węglowego, jest, jak się o tém sam przekonałem, obrzydliwą i w nieco większych ilościach pita, wymioty i biegunkę wywołuje. W sole jodowe woda kreuznachska o wiele jest uboższą od wód Iwonickich; a co do soli bromowych dorównywa prawie tym wodom, bo ich tylko o $^1/_{10}$ więcéj posiada. W sole zaś jodowo-bromowe razem wziąwszy, Iwonicz jest bogatszy, bo ma w 1 funcie $^1/_3$, Kreuznach tylko $^1/_4$ grana.

Zawiera wprawdzie Kreuznach w 1 funcie swéj wody $^1/_3$ grana węglanu żelazowego, zatem o $^1/_6$ wię-

céj od Iwonicza. Ależ tę małą różnicę sowicie wynagradza wolny kwas węglowy wód Iwonickich, za pomocą którego żelazo w nich zawarte, w nierównie większéj ilości do krwi dochodzi, aniżeli żelazo wód Kreuznach, pozbawionych tego roztwarzającego kwasu. Nie powiemy już o zupełnym braku węglanubarowego w wodach Kreuznachskich, nadmienimy tylko, iż im w cale niedostaje węglanu sodowego, łagodnego i silnie działającego sprzymierzeńca soli chlorowych i jodowych.

Z tego porównania okazuje się, że zdroje Iwonickie Karola i Amalji znakomite między wodami słono-jodowemi zajmują stanowisko. Nie wyrównywają im wody kreuznachskie, hallskie i heilbrunnskie, bo nie są szczawami, a zdroje luchaczowickie aczkolwiek silne szczawami, są wodami alkaliczno—a nie słono-jodowemi.

Po takim na chemicznym rozbiorze i na cyfrach opartym poglądzie, któż może jeszcze wątpić o większéj skuteczności naszych wód Iwonickich? Zwracamy przeto uwagę szanownych kolegów na wielką i niezaprzeczoną wartość wód Iwonickich, aby wysyłając chorych do Iwonicza a nie do Kreuznach, robić to mogli z wszelkiem spokojeniem sumienia.

Śmiało przeto i bez wszelkiéj przesady powiedzieć można wraz z Dr. Dietlem, że wody Iwonickie zdroju Karola i Amalji są jedyne w swoim rodzaju, i że nie mają ani w kraju ani zagranicą wód sobie podobnych lub równych.

Dr. Michał Zieleniewski.

HUMORESKA.



(Ojciec w kłopocie.)

PIERWSZE DZIECKO: Tatko, tatko, nie mamy się czém bawić!

OJCIEC: Stawiajcie sobie kupki z piasku, to bardzo ładne i nic nie kosztuje.

DRUGIE DZIECKO: E, kiedy nic nie kosztuje, to nic nie warto. Pójdziemy lepiéj zobaczyć tę, co to jak śpi wszystko widzi i nic nie czuje chociaż ją kłują szpilkami: (*jasnowidząca.*)

OJCIEC: Obejdzie się. Gotowa wam przepowiedzieć że zostaniecie urwisami... Wolę się łudzić...

TRZECIE DZIECKO: A to pójdźmy zobaczyć tego co to połyka kije, szpady i...

OJCIEC: I smyki...

DZIECI: I smyki?

OJCIEC: Tak, tak,—i smyki...

DZIECI: O, to już nie chcemy, bo wujaszek nazywa nas zawsze *smykami*, to możeby i nas ten pan (Straus) połknął.

OJCIEC: (*do siebie*). Chwała Bogu! Zostanie się parę złotych w kieszeni.

MIŁOŚĆ i MIŁOŚĆ.

DRAMAT w 2-ch AKTACH

przez

M. Dzikowskiego.

(*Dalszy ciąg*, patrz Nr. 14-ty.)

JULJA. Na Boga! co chcesz robić... ty zgubisz mnie!...

WACŁAW. Nie, ja cię uratuję... ja cię muszę uratować.. albo ty mnie nie kochasz więcéj.., tyś mnie nigdy niekochała!..

JULJA. Ja ciebie nie kocham?.. O, Bóg mi świadkiem, że dla téj miłości, gotowabym życie ponieść w ofierze... ale moje życie już dzisiaj nic nie warte...

WACŁAW. Więc w imię téj miłości, żądam od ciebie, abyś nie popełniała sama na sobie zabójstwa!..

JULJA. Nie rozumiem cię... Czego żądasz odemnie?..

WACŁAW. Powinnaś porzucić tego, który sięgnął świętokradzką ręką po ciebie... nie masz dla niego żadnych obowiązków. . powinnaś nim pogardzać... (*przez chwilę następuje zobopólne milczenie, podczas którego Julja zakrywa twarz chustką*). Cóż, nic nie mówisz, nic nie odpowiadasz?!.. Więc mi nie wierzysz?.. więc myślisz, że ja tak spokojném okiem patrzeć będę na twoją śmierć powolną w objęciach tego obrzydliwego starca?..

JULJA. Ja go nienawidzę... prawda... ale... ale porzucić go, nie mogę...

WACŁAW. (*gwałtownie*). Nie możesz!..

JULJA. Nie powinnam!...

WACŁAW. (*z rezygnacją*). Dobrze, więc uwolnię cię od niego innym sposobem...

JULJA. Na Boga! co chcesz robić?...

WACŁAW. Wyzwę go i zabiję... a jak nie stanie... sam mu w łeb strzelę...

JULJA. Wacławie! ty nie zrobisz tego...

WACŁAW. (*uroczyście*). Przysięgam, że zrobię!...

JULJA. Więc cóż chcesz odemnie?...

WACŁAW. Bądź mi posłuszną... i kochaj mnie...

SCENA XI.

WACŁAW, JULJA, ANIELA.

(*Aniela wchodzi podczas ostatnich djalogów—staje i słucha—Wacław i Julja nie widzą jej*).

JULJA. (*obejmując szyję Wacława*). O mój najdroższy, jak nikt nie jest w stanie rozkazać słońcu, żeby promieniami swemi nie roznosiło ciepła po téj ziemi... tak nikt nie jest w stanie wydrzeć mi z serca téj miłości... (*Aniela chwyta ręką za blisko stojące krzesło i opiera się o nie*). Bądź moim opiekunem... bądź moim aniołem stróżem... będę się do ciebie modliła... ale... (*klęka przed nim*) błagam cię... zlituj się nademną!.. nie każ mi się hańbić... nie rozkazuj mi... bo ja czuję, że oprzeć się nie potrafię.. że cię muszę słuchać... że cię usłucham...

WACŁAW. (*klęka przy niéj*). Juljo!.. zaufaj mi... ty nie możesz pozostać w rękach tego człowieka, który cię powoli morduje... znieważa... (*po chwili*). Czyż chcesz do śmierci pozostać jego własnością?.. (*gwałtownie*). Nie! do pioruna! ja na to nie pozwolę!.. (*wstaje*).

☛ Patrz Dodatek.

Dodatek do Nru 15go Opiekuna Domowego 1870 r.

JULJA. (*upadając na kozetkę*). W głowie mi się kręci... nie wiem sama, co się ze mną dzieje!..

WACŁAW. (*klęka u jéj stóp*). Uciekaj ze mną!.. dziś jeszcze... dziś w nocy... (*Aniela przyciska rękę do czoła*). Mam stosunki w Rzymie... uzyskamy rozwód... będziesz moją na wieki... a ja cię otoczę wszystkiem... będę całował ślady stóp twoich... będę twoim sługą... niewolnikiem... I będziemy szczęśliwi takiem szczęściem, o jakiem tylko aniołowie w obliczu Boga marzyć mogą!..

JULJA. (*opuszczając omdlałe ręce*). To już nad siły moje... Ja ci ufam Wacławie... masz mnie całą... rozkazuj... będę ci posłuszną... poświęcam ci mój honor... moją sławę... O, bo ja cię kocham tak głęboko, że nawet pozwolę się shańbić, byle tylko hańbiącą plamę na mojem czole, wycisnęła twoja ręka, Wacławie!..

(*Aniela, jakby skamieniała z bólu, słucha wszystkiego*).

WACŁAW. (*całując Julję po rękach*). Tu niema, tu nie może być żadnéj hańby!. (*wstaje*).

JULJA. (*powstaje*) Ale pamiętaj—strzeż się mojego męża... to człowiek podejrzliwy i gwałtowny... gdyby odgadł nasz stosunek... jest gotów na wszystko... Pamiętaj zniszczyć listy, które ci oddałam, żeby przypadkiem nie wpadły w jego ręce...

WACŁAW. Bądź spokojna... potrafię uśpić jego podejrzliwość... Dziś w nocy czekam na ciebie...

JULJA. Dziś?!..

WACŁAW. Tak jest, nie można zwlekać ani jednéj godziny... Tymczasem będę udawał, że jestem zajęty Anielą... to odwróci uwagę Żareckiego.

(*Aniela usłyszawszy ostatnie wyrazy, z osłabienia upada na stojącą przy niéj kanapę, i w takiéj pozycji zasłonięta jest przed Wacławem i Julją, znajdującym się koło kanapy stołem*).

JULJA. Więc dziś koniecznie?...

WACŁAW. Tak dziś, w nocy, czekam na ciebie w ogrodzie... wszystko będzie przygotowane... Mamy do kolei dwie mile.. jutro o 10-téj rano, będziemy już zagranicą... Ale Juljo, dotrzymasz słowa, nieprawda?..

JULJA. Jesteś panem mojego życia...

WACŁAW. Przysięgasz, że przyjdziesz...

JULJA. (*po chwili*). Przysięgam...

WACŁAW. I ja ci przysięgam, że...

JULJA. (*przerywa*). Nie przysięgaj!.. ja nie chcę twoich przysiąg... ja ci wszystko wierzę...

WACŁAW. (*całując ją w rękę*). A więc dzisiejszéj nocy w ogrodzie będę czekał na ciebie... Teraz idź do swego pokoju... uspokój się... Ja téż wyjdę naprzeciwko Żareckiego... Do widzenia... będę liczył minuty...

JULJA. Stało się... do widzenia!..

(*Wacław wychodzi środkowemi drzwiami, Julja wychodzi drzwiami z prawéj strony*).

SCENA XII.

ANIELA, *później* **ŻARECKI**, **DOLIWA**.

(*Aniela po wyjściu Wacława i Julji zrywa się z kanapy, postępuje kilka kroków*)

ANIELA. (*mówi bez związku*). Wacław... Julja... macocha... mój ojciec... tu w głowie... (*przyciska rękę do głowy*), tak mnie pali... tu... w sercu... (*przyciska rękę do serca*), tak mnie boli... straszny ból... Rzym... dziś... w ogrodzie... ziemia drży pod mojémi nogami... (*po chwili*). Gdyby mnie była pochłonęła, za nim tu weszłam!.. (*spostrzega leżący list na ziemi, biegnie i podnosi go*). List Wacława... pisany do niéj... (*w téj chwili wchodzi Żarecki i Doliwa*).

ŻARECKI. (*spostrzegając list w ręku Anieli*). Co to za list?..

ANIELA. (*zmięszana*) To list... do mnie...

ŻARECKI. Pokaż mi go..

DOLIWA. Ale cóż znowu... dajżeż jéj pokój... co cię mogą obchodzić panieńskie korrespondencje...

ŻARECKI. Ten list nie do ciebie... (*gwałtownie*) proszę mi go natychmiast pokazać... rozumiesz...

DOLIWA. (*wyrywa list z rąk Anieli*). O, muszę cię choć raz ukarać...

ANIELA. (*przestraszona*). Panie Doliwa!..

DOLIWA. (*do Anieli*). Wszak tu niema żadnego ważnego interesu w tym liście?..

ANIELA. (*j. w.*). Nie— niema żadnego...

DOLIWA. No — więc go można podrzeć. (*drze list i rzuca na ziemię*).

ANIELA. (*n. s.*). Bóg jest litościwy!..

ŻARECKI. (*podnosi spiesznie kawałki listu z ziemi*). Ja jestem pewny, że tu się coś ukrywa...

DOLIWA. (*gniewnie*) Ot, dzieciak jesteś—i basta...

ŻARECKI. (*skwapliwie przegląda kawałki listu*). A cóż to jest?.. (*do Doliwy pokazując mu kawałek listu*). Przeczytaj— co to znaczy: „Kochana Juljo!“

DOLIWA. (*po przeczytaniu n. s.*). Zdaje mi się, że jakaś chmura nieszczęścia zawisła nad tym domem... (*patrząc na Anielę*). Biedne dziecko!...

ŻARECKI. (*do Anieli*) To pisała męzka ręka... co to był za list!?.

ANIELA. (*zmieszana*). Otrzymałam go... z Warszawy...

ŻARECKI. (*gwałtownie*). Kłamiesz!.. (*do Doliwy*). Proszę cię, zostaw mnie z moją córką... muszę się z nią rozmówić...

DOLIWA. (*ciszéj do Żareckiego*). Człowieku, uspokój się... nie pastw się nad własnem dzieckiem...

ŻARECKI. Proszę cię, zostaw nas samych...

(*Doliwa wychodzi*). (*d. c. n.*)

POGADANKI

z dziedziny Sztuk Pięknych.

III.

Z pomiędzy nowo przybyłych na Wystawę obrazów, zwraca uwagę *Gersona*: „Malarz grecki w pracowni.“ Sam tytuł już wskazuje, że obraz ten pod względem stylu należy do rodzaju rzadko dziś uprawianego, chociaż przed niedawnym czasem, przeważnie, wyłącznie prawie, panującego w malarstwie europejskiém.

Dziś zmieniły się pojęcia. Potrafimy się już obejść bez Greków i Rzymian a zwróciliśmy się stanowczo do rzeczy swojskich, bogatych a nietkniętych.

W ślad za literaturą, malarstwo porzuciło klassyczne tory i poszukje nowożytnego ideału, którym, jak głosi ma być: piękno duchowe.

Myliłby się jednak, ktoby sądził, że dążenie takie obcém było mistrzom z czasów odrodzenia. Różnili się oni od dzisiejszych tylko formą, która znów naturalnym była wynikiem ogólnego stanu oświaty, w naśladownictwie Greckich i Rzymskich wzorów, krzepiącéj się do samoistnego kiedyś rozwoju.

Że tak jest, najlepszym dowodem są arcydzieła wielkich mistrzów, którzy pomimo małoznacznych różnic w pojęciach są zawsze i pozostaną wielkimi wzorami: wzniosłego piękna i smaku wysoce estetycznego.

W gruncie więc rzeczy malarze dzisiejsi zerwali tylko z nadużyciem niewolniczego manieryzmu, ażeby wejść właśnie na tęż samą drogę, którą dawni artyści doszli do mistrzowstwa—a drogą tą jest badanie piękna w otaczającej naturze i duszy ludzkiéj; nie zaś niewolnicze powtarzanie chociażby arcydzieł, lub też odtwarzanie bytu dawno zamarłego, na innych ugruntowanego warunkach, który przy braku danych, fałszywie pojmowany i maniernie tylko mógł być przedstawianym.

Dodać też należy, że pod tym ostatnim względem, zaszły od niejakiego czasu ważne zmiany. Nowsze badania rozszerzyły znakomicie zakres pojęć naszych o świecie starożytnym, a bogate zdobycze archeologji dostarczyły malarzom nowych a ważnych materjałów i uczyniły możebnem przedstawianie postaci starożytnych w sposób zupełnie nowy, z właściwością charakteru i prawdą zadość uczynić zdolnemi zarówno dobremu smakowi jak i rozumowym poglądom.

Nic więc dziwnego, że nowsi malarze, pomimo stanowczego zwrotu do rzeczy narodowych, nie zaniedbują wycieczek w świat starożytny i nowe czerpią pomysły z tego źródła, które za wyschłe już okrzyknięto. A czynią to z umiarkowaniem nie nadużywając nagości, które dziś są rażącemi, a któremi jedynie w czasach upadku sztuki wbrew zdrowemu rozsądkowi, szafowano.

Po tém zboczeniu wróćmy do obrazu *Gersona*. Przedstawił on młodego atletycznéj budowy malarza Greka, pozującego młodziuchną dzieweczkę. Pomysł to bardzo prosty, całe więc znaczenie obrazu polega na odwzorowaniu: charakteru epoki i klassycznéj piękności kształtów, a w tém właśnie niezupełnie się powiodło artyście.

Dziewczynka zanadto uowoczesna, żadnym rysem nie przypomina typu greckiego. W obu zaś figurach brak subtelności w układzie draperji i konturach ciała. Pomimo to, obraz Gersona jako całość malownicza mile w pada w oko i znajdzie niezawodnie licznych amatorów.

Z innych nowości na Wystawie zaznaczamy dwa obrazy z bogatego w malownicze tematy: Pana Tadeusza. Pierwszy z nich: *Łaszczyńskiego* ,,Tak, tak Gerwazeńku,“ przedstawia nam Woźnego i Klucznika, w dobréj znów zgodzie siedzących pod oknem kuchennem i gwarzących przy dobrym miodku, którego dostarcza im przez otwarte okno, dowodzący na ten raz kuchnią Wojski z nieodstępną swą klapką na muchy. Przedmiot to bardzo ładny; w obrazie jednak Łaszczyńskiego brak téj wybitności charakterów, jakiemi aktorowie téj sceny jaśnieją w poemacie. W Wojskim szczególniéj trudno dopatrzeć tego, staropolskiéj powagi a dowcipnego w rzeczach myśliwskich, arbitra, któremu, gdy zadął w róg, echa puszcz litewskich wtórzyły.

Eliasza ,,Woźny Protazy“ przedstawiony w chwili czytania protestu czy pozwu, mniej jeszcze udatnym jest niż widziany dawniéj na wystawie tegoż artysty: ,,Klucznik Gerwazy“ wzmiankujemy też o nim jedynie przez wzgląd na wybór przedmiotu. *Kossak* dał kilka obrazów olejnych, mianowicie, ,,Przejażdżkę w Parku,“ ,,Konie,“ ,,Portret mężczyzny konno“ i ,,Amazonkę“. Wszystkie te obrazy pomimo zwykłéj temu artyście zręczności w pochwyceniu zewnętrznéj charakterystyki, o wiele niższemi są od utworów jego akwarellowych. W akwarelli Kossak jest dopiero na właściwem polu.

Godnemi są też uwagi dwa nowe krajobrazy: *Brzozowskiego* ,,Dolina Strążycka w Tatrach“ i *Ruśkiewicza* ,,Zwaliska zamku w Kazanowie.“ **F. T.**

Wiadomości Techniczne.

— **Chloroform jako środek pomocniczy w sprawach kryminalnych.** Chloroform jak wiadomo czytelnikom naszym, jest środkiem usypiającym i odurzającym. Dotąd używano go (jak również eteru siarkowego) do usypiania pacjentów i pozbawienia w nich wszelkiego uczucia w czasie bolesnych operacji.

Obecnie użyto jego usługi w stanie Newyork'skim w Ameryce, w sprawie kryminalnéj. Niedawno niejaki Buckhout w Sleepy Hollow, zamordował swoją żonę, jak również swojego sąsiada i jego syna. Od tego czasu udawał obłąkanego, lecz tak doskonale, że lekarze nie mogli rozstrzygnąć, czy stan jego umysłu istotnie zwichnięty, czy też delikwent udaje tylko obłąkanego, ażeby zasłużonéj kary za swoje przestępstwo uniknąć. Ażeby rzecz tę wyjaśnić, postanowili lekarze, poddać zbrodniarza działaniu chloroformu. Rozumowali oni w ten sposób: jeżeli ktoś odurzony chloroformem przebudzi się znowu, to nie wraca mu natychmiast pamięć, i człowiek przedstawia się takim, jakim jest istotnie. W pierwszych więc chwilach przebudzenia, musi się pokazać, czy Buckhold jest obłąkanym czy też tylko udaje. Próbę odbyto w sali sądowéj. Przestępca zdawał się przeczuwać o co chodziło, opierał się więc całemi siłami, użyciu chloroformu. W końcu związało go ośmiu ludzi i zasnął pod wpływem chloroformu. Trwało dosyć długo, nim się przebudził. Spoglądał spokojnie około siebie, jakoby zdziwiony i odpowiadał na zadawane sobie pytania, widocznie z całą rzetelnością. W téj chwili nie był on obłąkanym. Lecz wkrótce wróciła mu pamięć: poznał w całéj okropności swoje położenie, a zasłoniwszy oczy rękami, gorzko zapłakał—następnie zeznał całą prawdę.

Próba z chloroformem, odniosła więc pożądany skutek.

(*Neue freie Presse* № 1951. z r. b.)

ROZMAITOŚCI.

— **(M. D.) Prelekcje publiczne.** Idąc chronologicznym porządkiem, zaczynamy niniejsze krótkie sprawozdanie, od odczytu pani Marczewskiéj zatytułowanego ,,Kobieta kobietą,“ który się odbył w sali Towarzystwa Dobroczynności i na rzecz tegoż. Odczyt ten zasługuje na wzmiankę, najgłówniéj dlatego, że go miała kobieta; pod względem bowiem treści i formy był bardzo słaby, i jakkolwiek należy się uznanie dla uczciwych i zacnych tendencyi pani Marczewskiéj, jednak zmuszeni jesteśmy wyznać szczerze, że bylibyśmy bardzo zadowolnieni, aby podobne prelekcje nie powtarzały się. [1])

W tydzień później z tego samego miejsca mówił p. Stanisław Kramsztyk magister nauk fizyczno-matematycznych: O przepowiedniach astronomicznych a przepowiedniach meteorologicznych.“ Oto jest krótka treść téj prelekcji: tylko nauka stojąca na wysokim stopniu doskonałości, jak astronomja może przepowiadać; na zasadzie znajomości systemu planetarnego, astronomja przepowiada zaćmienia słońca i księżyca, które są zresztą małoznaczącą pracą dla téj nauki. Najpryncypalniejszą przepowiednią jest oznaczenie połączenia planety Neptuna, które Levernier rachunkiem doszedł. Wszystkie zjawiska meteorologiczne, są daleko zawilsze. Prądy idące od stref między zwrotnikowych są powodem deszczu na ziemi, jednak spadek tego deszczu na ziemię, nie ulega żadnym stałym prawidłom, zależy bowiem od bliskości gór, mórz, i gatunku gruntu. Zetknięcie się dwóch wiatrów przeciwnych tworzą huragany. Dzisiejsza meteorologja weszła na pewniejszą drogę, ponieważ są robione przez obserwatorja stałe spostrzeżenia meteorologiczne. Paryż o godzinie 8-éj rano odbiera telegraficzne doniesienia z mnóstwa stacji meteorologicznych, tak że wie, jaki jest stan powietrza w całéj Europie, i tym sposobem można

[1]) Uwagi szczegółowe nad tym odczytem, znajdzie czytelnik we wstępnym artykule w poprzednim Numerze na początku umieszczone. (Przyp. Redakcji.)

przepowiedzieć burzę. Takie tylko przepowiednie mają prawdę za sobą i są ważne dla rolnictwa, inne są nieprawdziwe, bo meteorologja nie zna dokładnie ruchów powietrza, chociaż nie można zaprzeczyć, że weszła na drogę umiejętną i co raz bardziéj rozwija się. Różne wszelkie przepowiednie co do zmiany powietrza, są wymysłem amatorów i szarlatanów, a prawdziwa nauka nic o nich nie wie.

Prof. Lewestam w Resursie Kupieckiéj w dalszym ciągu, odbył 13-go Marca 7-mą prelekcję, w któréj mówił o Komedjopisarzach francuzkich, mianowicie: Ponsard, Augier, Sardou, Feuillet, Sand. Rozebrał szczegółowiéj dramat Ponsard'a p. t, ,,Honor i pieniądze,“ zatrzymał się dłużéj nad Emilem Augier i Wiktorynem Sardou, potępiając materjalistyczny ich kierunek, w końcu oceniał dzieła Feuille'ta i Sand'a, oddając téj ostatniéj wysokie pochwały.

Dr. Węclewski w 2-éj i 3-éj prelekcji w Resursie Obywatelskiéj, prowadził daléj rzecz o sztuce w Grecji starożytnéj. Zastanawiał się nad różnymi charakterami, celującymi dzieła sztuki, które są zewnętrznymi objawami różnego nastroju ducha; wykazał wpływ wywierany na sztukę, przez urządzenia społeczne, polityczne, towarzyskie, religję, wreszcie klimat. W 3-éj prelekcji Dr. Węclewski mówił o dramacie greckim, a głównie rozbierał dzieła trzech najznakomitszych greckich dramaturgów, mianowicie: Eschylesa, Sofoklesa i Euripidesa, wykazując zarazem, że w dziełach Eschylesa i Sofoklesa nie ma tendencji politycznych, gdy tymczasem trajedje Euripidesa obfitują w nie.

Na zakończenie tego pobieżnego sprawozdania, wypada nam jeszcze wspomnieć o prelekcji p. Zglińskiego, odbytéj znowu w sali Towarzystwa Dobroczynności w d. 22 Marca. P. Zgliński mówił o ,,samodzielności w poezji“ wziąwszy sobie za punkt wyjścia Szekspira i Balladynę Słowackiego. W prelekcji téj było kilka trafnych uwag i poglądów, ale cała prelekcja była ułożona chaotycznie i nużąco, a przytém prelegent, jakby naumyślnie rzeczy najważniejsze wypowiadał takim tonem nawiasowym, że niepostrzeżenie przechodziły, a tymczasem rzeczy mniéj ważne, albo wcale nieważne, były przez prelegenta traktowane z większym naciskiem i precyzją. Jesteśmy pewni, że z téj saméj prelekcji, którą wczoraj słyszeliśmy od p. Zglińskiego, kto inny mający więcéj literackiego doświadczenia, niewiele dodając, lecz ułożywszy ją systematycznie i wykreśliwszy niektóre ustępy, zrobiłby jako tako zajmujący odczyt.

— W dniu 1 Kwietnia roku bieżącego miał miejsce, w Teatrzyku Warszawskiego Towarzystwa Dobroczynności odczyt współpracownika naszego pisma, p. W. Przyborowskiego, *Opowieści tendencyjnéj w obec sztuki.* Odczyt ten, z którego dochód przeznaczony na powiększenie funduszów rzeczonego Towarzystwa, sprowadził dość sporą liczbę słuchaczów, zaciekawionych, przy dzisiejszym potopie najrozmaitszych powiastek i powieści, co też młody autor *Hindy* i tłumacz *Kameljowéj damy* powie w téj mierze. Prelegent przedewszystkiem skromnie wygłosił że nie powie nic nowego. Następnie wskazał na dwa obozy zwolenników powieści i w ogóle sztuki, t. j. na idealistów, chcących aby powieść przedstawiała nam człowieka idealnie, doskonale, jakiego nie masz na ziemi, i na realistów, materjalistów, chcących aby powieść była odbiciem tego co jest w rzeczywistości, aby ukazywała nietylko doskonałości, ale wady, rany i potrzeby społeczeństwa. P. Przyborowski stoi po stronie tych ostatnich. Powiada że karmienie czytelników sentymentami i czułościami niewarte złamanego szeląga. Że dziś, kiedy każdy umiejący czytać, czyta powieść i tylko powieść, to ta powinna mu dać to, w formie przystępnéj, co książki naukowe a nieprzystępne dają, czyli że powinna być tendencyjną i zawierać w sobie wszystkie obszary wiedzy, od astronomji aż do gastronomji. Prelegent powiedział, że powieści nietendencyjnéj nietylko nie uznaje, ale jéj i nie masz, bo każdy autor stara się w niej swoje *co* przeprowadzić. Zbijał zarzuty tych, którzy powstają na niemoralności i nieprzyzwoitości w niektórych powieściach jak *np:* w powieściach Koka. Że te nie piszą się dla 16-to letnich panienek, ale malują społeczność taką, jaką jest. Jeżeli więc jest złą i ma w sobie żywioły niemoralnosci i nieprzyzwoitości, to czytając o tém niech się sobie przyjrzy jak jéj z tém do twarzy i niech się z tego wyleczy. Powieść, według słów prelegenta, powinna tylko objawiać społeczeństwu jakiem ono jest i na jakiéj znajduje się drodze, ale nie powinna mu podawać lekarstwa, bo to na nicby się zdało w obec faktu, że społeczeństwo zawsze, prędzéj czy późniéj, potrafi sobie samo sporządzić skuteczne środki na nurtujące w niém bóle, niedostatki i potrzeby. Wspomniał przytem o Herodocie, o powieściach Tysiąca i jednej nocy, o Don Kiszocie, Dekameronie, Nędznikach i w. i. W ogóle pomimo kilku usterek w zapatrywaniu się zbyt stronnem na idealizm, prelekcja była niezłą, żywą, czasami dowcipną, wypowiedziana śmiało i bez ogródek, tak, że przynajmniéj wiemy co autor chce a czego nie chce, czego od dzisiejszych niektórych literatów trudno się dowiedzieć. (Odczyt ten podamy, w jednym z Dodatków nadzwyczajnych Opiekuna. *Redakcja.*) G.

—**Nowe Dzieła.** *O Spółkach i stowarzyszeniach ekonomicznych* napisał Szymanowski Michał—Warszawa, w Drukarni J. Ungra, 1869 r. (Cena kop. 15.) Interesującą jest praca p. Szymanowskiego Michała o Spółkach i Stowarzyszeniach ekonomicznych, tem bardziéj że jest na czasie, gdy i u nas tego rodzaju kwestje z dziedziny teorji przechodzą w życie praktyczne. A chociaż pod tym względem znacznie pozostaliśmy w tyle po za krajami, które sterować mają prawo cywilizacji, to jednak w spóźnionym postępie u nas w tym względzie, odnosimy tę korzyść, że rzecz gdzieindziéj już obrobioną teorytycznie i na polu doświadczenia wypróbowaną, potrzebujemy tylko rozumnie z uwzględnieniem danych miejscowych w życie społeczne wprowadzać. Wszakże możemy się pocieszyć że w swoim czasie w zastósowaniu teorji z nauki ekonomij znacznie wyprzedziliśmy i zachód, a szczególniej Francję: posiadamy bowiem instytucję blisko pół wieku istniejącą, jaką jest Towarzystwo Kredytowe Ziemskie ([1]), które umiejętnie i uczciwie prowadzone, ogromne krajowi usługi przyniosło i do dziś dnia je wyświadcza.

Po krótkim wstępie wyjaśniającym naturę spółek i stowarzyszeń ekonomicznych, autor opowiada kształtowanie się ich historyczne, rozdzielając je stósownie do zasad nauki na trzy rodzaje, to jest *spożywcze* czyli konsumcyjne, mające na celu ułatwienie stowarzyszonym nabywania przedmiotów do zaspokojenia potrzeb życia koniecznych, tak aby przedmioty przypadły stowarzyszonym w sposób możliwie najtańszy, w gatunkach najlepszych. Do téj kategorji należą stowarzyszenia zbiorowego nabywania artykułów żywności, odzieży, światła, opału, budowy, najmu mieszkania i t. p. *Wytworcze*, czyli produkcyjne, mające na celu w zasadzie wyzwolenie pracownika z pod zależności przedsiębiorcy, bezpośrednie się połączenie klass pracujących w sposób, iżby wszelkie produkta ich pracy własnemi siłami i zasobami wytworzone, bezpośrednio w dalszy obieg puszczane były, ażeby korzyści a tem samem i niebezpieczeństwa z operacji tych wynikające, przypadały wprost na udział stowarzyszonych; tu należą stowarzyszenia stolarzy, szewców, kowali, blacharzy i t. p. Nakoniec *stowarzyszenia kredytowe* czyli zaliczkowe, których celem jest zespolić pojedyncze jednostki i zbiorowo zobowiązujące się w charakterze dłużnika na zasadzie wzajemnego poręczenia i odpowiedzialności stowarzyszonych, a dające dostateczną rękojmię wierzycielowi odzyskania należności. W rozwoju swym, stowarzyszenia Kredytowe dążą i dochodzą drogą oszczę-

---

([1]) Ustanowione na Sejmie Krajowym w r. 1825, opatrzone sankcją Najwyższą d. 1 Czerwca t. r.

dności do nagromadzenia zasobu pieniężnego z którego członkowie na osobiste swe cele pożyczki zaciągać mogą. A tak, w pierwszym perjodzie stowarzyszenie występuje w charakterze dłużnika, w drugim w charakterze wierzyciela.

Do tych zasadniczych grupp odnoszą się wszelkie podziały i gatunki stowarzyszeń jakie powstały w naszych czasach i nieustannie powstają na zachodzie. Stowarzyszenia spożywcze tworzą się przeważnie w Anglii, produkcyjne we Francyi, kredytowe w Niemczech.

Stósownie do troistego gatunku spółek tych, autor w przystępnym i jasnym wykładzie przedstawia ich naturę, cel, pożytki, wspierając datami i wykazując cyframi korzyści, jakie odnieśli stowarzyszeni. Jednem z pierwszych stowarzyszeń spożywczych było w Anglii w miasteczku Rochdale w hrabstwie Lancaster powstałe w r. 1844 w czasie przesilenia handlowego i licznych upadłości, pod nazwą pionierów sprawiedliwych. Początkowo czterdziestu jeden członków zebrało kapitał zbiorowy 28 fun. szterl. (rubli 176 kop. 40.) mając na celu zbiorowe kupno przedmiotów i artykułów żywności potrzebnych do utrzymania rodzin; wytrwałością zdołali oni przebyć trudności tak, że mimo licznych niepowodzeń w roku następnym przy spisaniu inwentarza własności spólników 74, posiadało 181 funt. szter. (rubli 1140) ogólny obrót wynosił rubli 4,473 zysk na nim 191 Rub. 60 kop. W lat piętnaście to jest w r. 1860 obrót handlowy przedstawiał poważną cyfrę 957,986 rubli, czysty zysk wynosił 100,107 rubli. W końcu zaś 1864 r. stowarzyszenie miało 4,747 członków, posiadało zaś kapitał 357,895 rubli, zakup roczny był na 952,685 rubli. Sprzedano towarów i różnych produktów za 1,102,103 rubli, zysk przypadający na udział stowarzyszonych wyniósł rubli 143,016.

Na wzór stowarzyszenia tego powstała ogromna ilość w Anglji, tak że w ciągu r. 1866 biuro stowarzyszeń przyjacielskich ustanowione przez parlament dla dania jak największéj zachęty i poparcia podobnym stowarzyszeniom, miało sobie przedstawione do zatwierdzenia 1,237 ustaw różnych nowotworzących się stowarzyszeń wzajemnéj pomocy, kredytowych, dobroczynnych. Pod względem urządzenia, działalności i pożyteczności odznaczają się stowarzyszenia w Manchester, Oldham, Salford i Leeds, założone w r. 1846.

Po wyłożeniu zasad, na jakich oparte są stowarzyszenia te, autor przechodzi do stowarzyszeń ekonomicznych, w których odpowiedzialność członków jest dwojakiéj natury, *solidarna*, oparta nietylko na majątku stowarzyszenia ale nadto na majątkach osobistych wszystkich członków (zasada ta przyjętą jest przez stowarzyszenia kredytowe w Niemczech, których twórcą jest słynny członek izby reprezentantów w Berlinie Schultze Delitsch). I *odpowiedzialność stosunkowa* będąca charakterem stowarzyszeń w Francji i Anglji, t. j. odpowiednio wkładom przez członków poczynionym. Stowarzyszenia niemieckie pomimo przyjęcia tak surowéj zasady kwitną i rozwijają się tak, że żadne nie było dotknięte upadkiem. Rezultat ten zawdzięczają szczęśliwemu układowi swemu, użyteczności, przezorności, charakterowi i oględności rad zarządzających, oraz sumiennemu spełnianiu zobowiązań zaciągniętych przez członków.

System drugi: *odpowiedzialności stosunkowéj*, przyjęty przez stowarzyszenia angielskie i francuzkie, a u nas przez stowarzyszenie *Merkury*, wychodzi z zasady, gdzie równe korzyści, tam równe powinno być niebezpieczeństwo i opiera się jak u nas na odpowiedzialności ustosunkowanéj do wysokości zakupu, zatem odpowiednio do zysków stowarzyszonych. Odpowiedzialność ta dotyczy pojedyńczego członka z majątku osobistego tylko do wysokości dopełnionych zakupów, (art. 5, 14, 38 ustawy) w razie niepowodzenia i likwidacji. Świetny jednak rezultat wykazany w sprawozdaniu zarządu, przedstawiony stowarzyszeniu na zebraniu ogólnem w d. 3 Lutego r. b., a mianowicie cyfra odniesionych korzyści w czasie krótkiego istnienia Merkurego, (zysk bowiem z sprzedaży sklepowéj wynosi rubli 3,914, to jest przeszło 9% od ogólnego obrotu,) spodziewać się każe że instytucja ta nietylko nie ulegnie żadnéj katastrofie, ale coraz więcéj działalność jej rozwijać się będzie, im więcéj w niéj jednostek udział weźmie, a szczególniéj też z klassy mniéj zamożnéj, a tem samem najliczniejszéj. Niemożna dosyć zachęcać do brania udziału w stowarzyszeniu spożywczem *Merkurego*, tem bardziéj że korzyści dla członków są widoczne w nabywaniu tańszem, w lepszym gatunku artykułów codziennego życia. Warunki zaś uczestnictwa nie są trudne, gdy według § 7 ustawy, przy składaniu deklaracji opłaca się tylko rubla wstępnego, tytułem udziału rubli dziesięć, których spłata, na żądanie stowarzyszonego może być rozłożoną na raty miesięczne po rublu, lub tygodniowo po kop. 25.

Szerzéj mówiliśmy o stowarzyszeniach spożywczych, jako mających związek z wchodzącemi u nas w praktykę.

W podobny sposób autor przedstawia naturę i warunki stowarzyszeń produkcyjnych i wzajemnego kredytu, stwierdzając datami rozumowania swe, w końcu domieszczoną jest ustawa *Merkurego*.

Zdaje się, że zbytecznem byłoby zachęcać autora do podnoszenia podobnie interesujących kwestji w sposób przystępny, i spodziewamy się że spotkamy się znowu z jego pracą w tym rodzaju. Nie jesteśmy bowiem zbyt bogaci w piszących w materjach poważniejszych, zwłaszcza też mających związek z życiem praktycznem i cieszymy się szczerze gdy widzimy pojawiającą się pracę w tym rodzaju, chociażby w mniejszych rozmiarach. Piszący zaś podwójną ma zasługę, już to kształcąc w sobie jednostkę użyteczną dla kraju, już też dając przykładem swym zachętę dla drugich.

Kazimierz Kalinka.

Korrespondencja od Redakcji.



— Pani *Bronisławie* z *Suwałk*. Bajka J. I. Kraszewskiego pod tytułem „*Dziad i baba*“, umieszczona w № 248 z r. b. pisma illustrowanego „*Kłosy*“, rzeczywiście po raz pierwszy drukowaną była z dwoma drzeworytami w „*Kalendarzu dla ludu polskiego*“ na r. 1863 pod naszą redakcją i naszym nakładem wydanego. Nie ubliża to bynajmniej „Kłosom“ lecz owszem ich wartość podnosi, kiedy starają się rzeczy istotnego talentu, rozpowszechniać pomiędzy szerokiem kołem swoich czytelników. Podzielając przeto zdanie przez poprzednią Redakcję *Opiekuna Domowego* wypowiedziane: że lepiej dawać przedruki wzorowych poezji, zamiast w braku dobrych oryginalnych, drukować liche wiersze, zaspokoić możemy Panią, że gdy nam zabraknie *dobrych* oryginalnych utworów poetycznych, damy wtedy pomiędzy innemi i rzeczoną na początku bajkę Kraszewskiego.

Z przyczyn niezależnych od Redakcji, **Opiekun Domowy**, przez pewien przeciąg czasu, zamiast w *Środę*, wychodzić będzie w *Sobotę* każdego tygodnia.

Wydawca, Mieczyński Adam.—Druk. J. Psurskiego.—Za pozwol. Cenzury Rządowéj.—**Redaktor**: Oskar Stanisławski.